Nr. 20. Kraków, dnia 15 Października 1897. Rocznik II.

Adres
Redakcyi i Administracyi:
ulica Floryańska L. 55,
I piętro

Wszelkie
Listy i przesyłki pieniężne
adresować należy do
Redakcyi lub Administracyi
ulica Floryańska L. 55,
I piętro.

Rękopisów nie zwraca się.

Listów nieopłaconych nie
przyjmuje się.

[illegible]
[illegible]
nie podlegają opłacie



Prenumerata wynosi:
W Krakowie:
(bez odsyłki)
rocznie . . . . 1 złr. 20 c
półrocznie . . — „ 60 „
kwartalnie . . — „ 30 „
W Austryi:
rocznie . . . . 1 złr. 40 ct.
półrocznie . . — „ 70 „
kwartalnie . . — „ 35 „
W Niemczech:
rocznie . . . . . 3 marki.
We Francyi:
rocznie . . . . 5 franków

Numer pojedynczy 5 ct.

Do nabycia w Krakowie
w Biurze dzienników Plac
Maryacki L. 2.

Wychodzi 1 i 15 każdego
miesiąca.

Nowe podatki.

Tak jest, w Austryi nowe podatki! Do rozlicznych ciężarów, obarczających biedną naszą ludność, przybędą nowe, podwajające jarzmo materyalnej od państwa zawisłości. Co gorsza, dziś każdemu już staje się coraz widoczniejszem, że cała polityka finansowa Austryi zasadza się na stwarzaniu coraz nowych podatków. Minister Biliński, omawiając na posiedzeniu parlamentu z dnia 1 bm. budżet państwa na rok przyszły, okazał zdumiewający nieraz zasób kruczków, wykrętów, genialnych nawet pomysłów, wszystko tylko na to, aby wpoić w słuchaczy (a może i w siebie) przekonanie o konieczności nowych ciężarów podatkowych. Przypatrzmy się tedy bliżej tym genialnym wywodom naszego ministra-rodaka, zwanym szumnie „expose“ budżetowe.

I oto przedewszystkiem uderza nas, że p. minister z niezwykłą rzekomo szczerością przedstawiał wielce niby opłakany stan finansów państwa. Źle jest w Austryi, niema pieniędzy, należy gwałtem szukać nowych źródeł dochodu — oto struna, na której bardzo czule i umiejętnie grał p. Biliński. I w istocie, jeślibyśmy patrzyli na rzeczy oczyma ministra skarbu (a raczej tylko ubranemi przezeń czasowo okularami), to musielibyśmy mieć rzeczywiście smutne wyobrażenie o stanie finansowym Austryi. Różnica tylko byłaby taka, że mybyśmy nie wyciągnęli z tego konsekwencyi, jaką wysnuł p. Biliński, ale raczej musielibyśmy wówczas wyrazić zdumienie, że w państwie, które tak z wszystkich stron ciągnie dochody, jeszcze za mało jest pieniędzy: fakt ten świadczyłby nam tylko o złej gospodarce rządu. Ale choć bynajmniej nie chcemy się wypierać tego zdania, opartego na słusznej podstawie, przecież musimy zaznaczyć, że p. Biliński malował rzeczy za czarno, a widocznem jest, że użył umyślnie barw jak najczarniejszych.

I tak mianowicie, dochody na rok przyszły przedstawiają sumę około 720 milionów złr., czyli o 30 milionów więcej, niż w roku ubiegłym, wydatki powiększą się o przeszło 25 milj. złr. i wyniosą 717 milionów złr. Jeżeli dołączymy do tego nie wliczony jeszcze wzrost wydatków wspólnych (na cele wspólne Austro-Węgier), to otrzymamy nadwyżkę w preliminarzu 1 milion złr. Dotychczas że jednak doświadczenie poucza nas, że istotna nadwyżka przerasta wiele nadwyżkę preliminarzową i tak możemy spokojnie patrzeć na stan finansów w Austryi w roku przyszłym. Zbyt silnie przekonani jesteśmy o zdolnościach rządu w ściąganiu podatków, abyśmy się mieli obawiać o zbyt małe dochody. Nasze więc zdanie w tej sprawie będzie bezmiało zupełnie odmienne od zdań p. Bilińskiego, a nowe podatki musimy uważać tylko za zwykłą chęć łupienia najuboższych obywateli, nie za istotną potrzebę.

Przypuśćmy jednak, że rząd faktycznie potrzebuje nowych dochodów, że te wszystkie „reformy“, które zapowiada p. Biliński, jakoto podwyższenie płacy urzędników, zniesienie loteryi liczbowej, stempla dziennikarskiego itd. wymagają rzeczywiście nowych podatków (co jednakowoż jest stanowczo tylko wynikiem — nieracyonalnej gospodarki finansowej), to czyż mimoto wszystko musi się dojść do wniosku, jaki wypowiedział minister skarbu? „Pięćdziesiąt milionów nowych podatków potrzebuje obecnie Austrya“, rzekł p. Biliński, ale czy z tego wynika, że te podatki mają płynąć z kieszeni najbiedniejszej, najbardziej już wyzyskiwanej ludności? I w tem właśnie leży charakterystyka rządu austryackiego, że potrzebując pieniędzy, nie zwraca się do tych, co ich mają aż nadto, ale do tych, co sami giną z głodu. Kosztem nędzarzy ma się podwyższyć płacę państwowym funkcyonaryuszom, kosztem nędzarzy ma się usunąć średniowieczne zabytki finansowe, kosztem nędzarzy więc ma Austrya cywilizować się na polu finansowem. 50 milionów złr. ma wpłynąć z podatków na wódkę, piwo i cukier. Najzwyklejsze, najpotrzebniejsze środki spożywcze padają ofiarą „potrzeb“ państwowych, a rzeczy luksusowe, własność najbogatszych kapitalistów i lichwiarzy, pozostaje nadal wolna od wszelkich ciężarów. Czyż to nie jest uświęcenie tych rzeczy i tych osób, uprzywilejowanie ich kosztem innych?...

Minister Biliński nie zadawalnia się jednak ponownem obciążaniem tych najpierwszych potrzeb najbiedniejszych obywateli państwa. Genialny jego umysł wynalazł nowy jeszcze podatek, t. j. podatek transportowy. Transport osób będzie w ten sposób na większych kolejach obciążony 12%-wym podatkiem, przewóz towarów 5%; mniejsze koleje lokalne ponoszą mniejsze stosunkowo ciężary, wyjęte zaś zupełnie z pod tej reguły są lokalne koleje wiedeńskie... Mamy więc nowomodny, kolejowy podatek, który naturalnie odbije się znowu na najbiedniejszych. Opodatkowane koleje podniosą taryfę, a rzecz prosta, że najwięcej ucierpią na tem znów pasażerowie trzeciej klasy. Gdziekolwiek rząd sięga po pieniądze, trafia dziwnym sposobem prosto w kieszenie proletaryatu...

I w ostateczności jesteśmy już w Austryi przyzwyczajeni do tego dziwnego faktu. Zaszczyt utrzymywania państwa przypada niejako z urzędu w udziale tym warstwom, które z trudem zdobywają chleb powszedni. Gdybyż przynajmniej można było być pewnym, że tych wyciśniętych pieniędzy państwo użyje w celach, rzeczywiście dla całego społeczeństwa korzystnych! Ale polityka rządu austryackiego zbyt dobrze jest nam znana, abyśmy mieli wierzyć w rychłe spełnienie obiecanek p. Bilińskiego. Nowe podatki mają być niby wynagrodzeniem za usunięcie innych źródeł dochodu państwa, jak wspomniane już loterya, stempel i t. p. — ale z wszystkiego widać, że sprawy te postawi się znowu na drugim planie, a pieniądze, uzyskane z nowych podatków, pójdą na „żywotniejsze“ potrzeby. W ministerstwie kolejowem np. wyznacza preliminarz wydatki w sumie 96.065.087, t. j. o 2.550.790 złr. więcej, niż w roku poprzednim; pokrycie ma być więcej, niż o 5 milion. wyższe, niż w r. 1897. Jak rozporządzi p. Guttenberg tą olbrzymią sumą? W budżecie wyjaśnia się wzrost wydatków w ministerstwie kolejowem potrzebą nowych urządzeń, powiększenia personalu itp. Czy jednak rzeczywistość odpowie tym przyrzeczeniom? Przyzwyczajeni już jesteśmy do tego, że podobne zapowiedzi pozostawały na papierze, a pieniędzy użyto na pomnożenie wysokich urzędów, na ustanowienie nowych kilku hofratów, inspektorów i innych pasożytów kolejowych.

I robiąc przegląd budżetu na rok przyszły,

IWAN FRANKO.

ŚLIMAK.

Opowiadanie.

(Dokończenie).

III.

Minęło znów lat dziesięć. Przyjazd cesarza w lecie roku 1880 ściągnął do Borysławia tysiące ludzi z całej podgórskiej okolicy. Poszedłem i ja. Z rana pogoda była prześliczna: wesoło gwarząc, szedłem z gromadką znajomych włościan, zachwycając się cudowną okolicą i widokiem gęstych kopców owsa, które, jak gwiazdy na niebie, rozpościerały się w około na polach. Jednak niedaleko Borysławia zaskoczył nas rzęsisty i ostry deszcz, tak, że doszedłszy do Borysławia, byliśmy przemoknięci wszyscy do nitki, a zwłaszcza ja drżałem z zimna, wybrawszy się w drogę w jednej tylko letniej bluzie z szarego płótna. Jasna rzecz zatem, że w takim niemiłym stanie nie miałem wcale ochoty podziwiać wieńców, bram tryumfalnych z napisami, tysięcy chorągiewek i tysięcy świątecznie przystrojonych żydów, którzy pomimo słoty gęsto snuli się na ulicy, uśmiechając się bardzo i narzekając wciąż na Boga, że popsuł im „ich święto“, które ich tyle kosztowało. Ja i moi towarzysze niedługo błąkaliśmy się po pełnych błota ulicach; chłód i deszcz skłonił nas do poszukania sobie suchego schroniska. Wstąpiliśmy zaraz do pierwszego szynku, który był też ozdobiony tryumfalną bramą. Był to szynk Judki Maultrommela.

Brzydka jak noc, pomarszczona już żydówka stała za szynkwasem, choć nie było wówczas z powodu uroczystości nikogo w szynku, oprócz nas. A po szynku przechadzał się podeszły już żyd z okazałym żywotem, w atłasowej bekieszy, przewiązanej świątecznym, jedwabnym pasem, z futrzanym „sztramele“ na głowie. Na jego gładkiem, lśniącem, choć żółtem obliczu widniał spokój i zadowolenie. Był to Judka.

Ogrzawszy się trochę, wyszedłem na podwórze, do którego z wszystkich stron przypierały ściany sąsiednich domów i szop, zlepione zbitą gliną. Była to jakby wielka klatka, brudna, zaniedbana, zgniła i okropnie woniejąca. W środku wznosiła się wielka kupa śmiecia i wszelakich rupieci. Na prawo, na rogu szynku było wązkie przejście na ulicę i tędy z sąsiednich dachów ciekła potokiem woda na niskie, jak jama, podwórze. Ale na drugim końcu wypływ jej był po części zatamowany. Tam, przyparta do ściany jakiegoś drugiego budynku, stała, coś jak szopa albo buda, z przegniłym dachem i z czarnemi, niepolepionemi i w wielu miejscach dziurawemi ścianami. Między szynkiem a budą był tylko wąski ściek dla wody, ale napływający potok nie mógł się w nim zmieścić i zalał prawie całą połowę podwórza szerokim stawem błotnistej wody. Zwłaszcza koło budy, jako miejsca najniżej położonego na podwórzu, zebrało się najwięcej wody i dość znaczny potok lał się przez szpary w połupanych drzwiach i popod przegniłym progiem do środka. Jedno wązkie okienko, z powybijanemi oddawna szybami, było całe zalepione pożółkłym od słońca i deszczu papierem. W budzie cicho było, jak w grobie. Deszcz nietylko nie ustawał, ale się nawet wzmagał. Z ulicy dolatywały tu głuche krzyki i rozmowy, ale ani jeden ślad na tem podwórzu nie wskazywał, że teraz w Borysławiu święto, że cała mieścina przybrała teraz świąteczny strój, aby powitać najdostojniejszego gościa. Czarna, zgniła i ponura powierzchowność panowała z niczem niewzruszonym pokojem.

Chwilę stałem tak pod poddaszem, rozglądając się dookoła, gdy w tem z prawej strony wąskiem przejściem przecisnęła się malutka, może ośmioletnia dziewczynka i nieśmiało, pytającym wzrokiem spojrzała na mnie.

— Czego chcesz, dziecinko? — spytałem.

— Ja tu przyszła do dziadka.

— Do jakiego dziadka?

— A ot tu — rzekła, wskazując nędzną budę — tu dziad Ślimak. Ja go tak nazwała dziadkiem. Ja przyszła popatrzyć na niego. Nie wie pan, czy on jest?

— Nie wiem, dziecinko. A czy on wychodzi kiedy?

— Ta nie wychodzi. Ale dziadek mówił pozawczoraj, jak ja była u niego, że go Judka chce wyrzucić.

— Wyrzucić? A to dlaczego?

— Bo, widzi pan, dziadek już stary, nie może robić.

— A cóż tu ten dziadek robi?

— A ot tak: rączki do korb, listewki, kliny. Odkąd pamiętam, to on zawsze to robi; mamusia powiedzieli, że już tak dziesięć lat.

— A ty nie byłaś u niego od przedwczoraj?

— A nie była, bo moja mamusia byli także słabi, to musiałam koło nich siedzieć. Aż teraz lepiej im się trocha zrobiło, to ja wyprosiła się do dziadka. I mamusia sami powiedzieli, żebym poszła, może dziadkowi trzeba co przynieść, albo co, bo dziadek słaby na nogi i nie może wyjść, A jak nie trzeba nic, to żebym zaraz wróciła.

— No dobrze, to idź i zobacz.

Dziewczyna już chciała iść, ale wstrzymała się, zobaczywszy przed drzwiami wielką kałużę.

— Ojojoj, jak tu przejść. Aż, jaka woda, jak Dunaj!

— Poczekaj, ja cię przeniosę, — rzekłem, i wziąwszy dziewczynkę na ręce wszedłem w kałużę. Brodząc prawie aż po kolana, doszedłem

widzimy znowu to samo, co było dotąd zawsze — tylko że pretensye rządu zwiększają się coraz bardziej, ciężar podatków wzrasta coraz szybciej... Mamy w tym roku znowu większe pośrednie podatki, znowu opłatę od każdego kieliszka wódki lub szklanki piwa, wypitej po ciężkiej pracy. Każdy kawałek cukru będzie nam przypominał, że jarzmo podatków staje się cięższem z roku na rok. W chwili, kiedy nędza ludności w państwie dochodzi najwyższych granic, kiedy nieurodzaj, klęski elementarne, drożyzna, w zgodnym uścisku opasały najbiedniejsze warstwy, — w tej strasznej chwili nędzy i głodu, przedstawiciel rządu austryackiego zapowiada nowe ciężary. Śmiesznie małą jest wobec tego wszystkiego każda zapomoga państwowa, (po największej części zresztą tylko przyrzekana) śmiesznie małymi są wszystkie dodatki drożyźniane, są wszystkie rzekome „ulgi". Opieka rządu zasadza się u nas na troskliwości o jak najobfitsze zyski. Potrzeba pieniędzy, — więc się je mieć musi, choćby każdy grosz miał ślady krwi i potu. Gińcie, a płacić musicie!...

PRZEGLĄD.

Drożyzna i zima, wziąwszy się za ręce, pukają do domków kolejarzy. Znane im są dobrze te dwa widma, goszczące u nich z takiem upodobaniem, a z wdzięczności za gościnę przynoszące im głód, nędzę, chorobę i śmierć. Tegoroczna drożyzna już obecnie daje się im dobrze we znaki. Mimoto kolejarze dotąd milczeli: nadchodził właśnie czas, kiedy zarządy kolejowe rozdzielają t. zw. „dodatki drożyźniane", i kolejarze z niecierpliwością wyczekiwali ogłoszenia tegorocznego podziału, spodziewając się po nim ulgi i chociaż czasowej poprawy bytu. Niepoprawni, po tylu doświadczeniach, po tylu strasznych zawodach, oni jeszcze mieli nadzieję! I dlatego milczeli, tłumiąc w piersi skargi i żale, milczeli w nadziei szybkiej pomocy. Ale niestety, dziś już minęła chwila milczenia, bo rozwiała się wszelka nadzieja, rozwiały się złudzenia. Usta kolejarzy otwarły się, aby wyrzucić przekleństwo, ciężkie i srogie przekleństwo na tych, którzy ich łudzą z roku na rok, aby ich nikczemnie oszukać. „Dodatki drożyźniane", owa „pomoc", która ma wypędzić widmo drożyzny z pośród rodzin kolejarzy, już rozdane... I zaprawdę, zdumieni jesteśmy bezczelnością tych, którzy odważają się przedstawiać ów dodatek jako rzeczywistą pomoc dla najbiedniejszych kolejarzy, dla prawdziwie potrzebujących robotników. Jak zawsze, tak i w tym roku, zarządy kolejowe okazały, że uważają rozdział dodatku jako prawo, przysługujące im w celu wynagradzania miłych im osób. Najwięksi lizunie, pochlebcy, niegodni spojrzenia uczciwych kolejarzy, zostali obdarzeni dodatkiem drożyźnianym. Nie istotna potrzeba, nie prawdziwie ciężkie położenie było dla dyrekcyj miarą w tegorocznym rozdziale, ale znowu protekcya, znowu lizanie łap, wstrętne pochlebstwo. Przytem warto się przypatrzeć, jak śmiesznie mała cząstka kolejarzy korzysta z owego „dobrodziejstwa": na stu np. warsztatowych robotników w Krakowie dosięgło tej „łaski" tylko czternastu! Najwięksi nędzarze, ludzie, którzy uczciwą i ciężką pracą na kolei nie zdołali nawet zarobić na przyzwoite utrzymanie rodziny, — tacy odeszli z niczem, odeszli z przeświadczeniem, że im wyrządzono najcięższą krzywdę, że padli ofiarą niesumienności i przewrotności zarządów. Robotnicy i urzędnicy kolejowi ulegli zarówno systemowi, panującemu wszechwładnie na kolei, systemowi zakulisowych intryg i protekcyjek. Jeden los spotkał wszystkich tych kolejarzy, bez różnicy rangi i stanowiska, którzy sądzili, że nareszcie zajdzie jakaś zmiana w postępowaniu władz kolejowych. Dziś, kiedy statystycznie z cyframi w ręku, wykazuje się nędzę i ciężką dolę służby kolejowej, kiedy to straszne położenie jest już powszechnie uznaną przyczyną wszystkiego złego na kolejach, dziś w ten sposób drwić cynicznie z tej nędzy to zbrodnia, która bezkarnie ujść nie może, — która sama się ukarze w następstwach swoich. Bo kolejarze, robotnicy i urzędnicy, proletaryusze kolejowi, czyż nie widzicie, że to kpią z was poprostu?! Czyż nie rozumiecie, że pieniędzy, które mają być dla was pomocą w walce o chleb powszedni, używa się na cele najwstrętniejsze, na zapłatę dla najzwyklejszych pochlebców i donosicieli?! Czyż nie czas już najwyższy, abyście raz przerwali tę nić korupcyi, która oplata was i wrzyna się w wasze ciało? To, co zrobiono tego roku z dodatkiem drożyźnianym, to tylko jedno ogniwo długiego łańcucha krętactw i matactw: tak samo jest i było dotąd zawsze z wszystkiemi remuneracyami, nadzwyczajnemi dodatkami i innemi sumami, przeznaczonemi rzekomo dla wynagrodzenia waszych zasług. I tak będzie dalej ciągle — do czasu. Od was zależy, kolejarze, aby chwila zgonu tego systemu drwiącego wyzysku wybiła jak najprędzej. Szwindle, popełnione z dodatkiem drożyźnianym, wzywają was znowu do dzieła, do pracy!...

W sprawie połączenia dwóch prawdziwie opozycyjnych pism kolejowych. „Eisenbahner" i „Flugrad", której poświęciliśmy w poprzednim numerze wstępny artykuł, pisze „Eisenbahner", co następuje: „Witamy z wielką radością i szczerem uczuciem zadowolenia w naszych szeregach uczciwe i zacne żywioły z pośród sfer urzędniczych. Wspólna walka służby i urzędników przeciwko wyzyskiwaczom, jest najsilniejszą, najbardziej niszczącą odpowiedzią na czyny takiego Guttenberga i postępki Kubików i Prosków (po naszemu n. p. Kolosvary'ch i Wierzbickich), zmierzające do obdarcia kolejarzy z praw i uciskania. Zamiast umniejszyć, zamachy te pomnożyły nasze szeregi i zrobiły je jeszcze bardziej świadomemi celu. Urzędnicy, którzy pokonali przesądy stanowe i przyłączają się do armii robotników, już przez to samo wykazują, że stoją na wysokim poziomie moralności i pojęli znaczenie organizacyi. I urzędnicy nie zdobędą również praw swoich i dobrobytu swoich rodzin przez pochlebianie, płaszczenie się i uciskanie, ale tylko tak, jak robotnicy, przez walkę ciągłą, ochoczą, wytrwałą, bezwzględną walkę. Dziś radośniej, niż kiedyindziej, wzbija się z piersi naszych stary nasz okrzyk bojowy: Naprzód!" —

Oby i nasi galicyjscy urzędnicy zrozumieli dobrze znaczenie tego okrzyku! Oby i oni nareszcie przyszli do tego przekonania, że hasło: „naprzód" oznacza u nas walkę o ludzkie prawa, o lepszą dolę; oby i oni pojęli, że tylko w jednym szeregu z resztą gnębionej służby zastępy ich będą mogły dojść do upragnionego celu....

W parlamencie obecnie stosunkowo cicho i spokojnie. A przecież stosunki nie zmieniły się wcale: prawica rządzi, jak przedtem, nie oglądając się na opozycyę, prezydyum gwałci dalej swobodę słowa, rząd jest ten sam, uosobienie łamania najbardziej zasadniczych ustaw. Zmiana zaszła tylko w tem, że obstrukcya wyczerpała się już zupełnie, a widząc bankructwo krzykackiej polityki, innej się nie chwyta, bo chwycić się nie umie. Mimo to spokój ten i ta cisza parlamentarna są tylko pozorne; nawet rząd swojem postępowaniem daje do poznania, że obecny stan należy uważać za jakiś przejściowy, nienormalny. Przedłożenia rządowe noszą bowiem właśnie ten charakter tymczasowości, mają w sobie coś anormalnego i wykazują, że jak były fabrykowane niejako na prędce, tak też i trwać mają niedługo. Polityka badeniowska jest obecnie prowizoryczną polityką rozmaitych prowizoryów. Więc naprzód prowizoryum budżetowe, przynoszące ludom Austryi radosną nowinę o nowem opodatkowaniu codziennych potrzeb; dalej — i to najważniejsze — prowizoryum ugodowe, świadczy najlepiej o nieudolności obecnego rządu. Badeniego pierwszym obowiązkiem było przeprowadzić ugodę z Węgrami, ugodę, którąby nareszcie była (o ile możności przynajmniej) sprawiedliwszym podziałem ciężarów między obie połowy monarchii, którąby usunęła krzywdzące stanowisko Austryi wobec Węgier. Zamiast takiej ugody dał nam Badeni prowizoryum ugodowe, które obecny stan rzeczy przedłuża na rok jeszcze. W ten sposób obecny prezydent ministrów pojmuje rządy swoje w państwie: przyznać należy, że sposób bardzo łatwy i wygodny. Przedłużać to, co jest, kontynuować mądrość dzisiejszej polityki, — oto działalność Badeniego. W ten sposób sam przeczy obowiązkom, jakie wziął na siebie, a wielki „mąż przyszłości" (jak go nazywano przed objęciem godności premiera), który miał Austryę wybawić z wszystkich kłopotów, zaledwie potrafi utrzymać to, co zastał. Polityka Badeniego zbankrutowała.

Parlament wobec katastrof kolejowych. Na ten ten temat przemawiał na olbrzymiem zgromadzeniu kolejarzy w Wiedniu 4 bm. tow. dr. Verkauf. Rozbierając przyczyny katastrof, mowca wykazał na podstawie dat statystycznych, jak nędznem jest położenie kolejarzy. Państwo nie dba o dobro funkcyonaryuszy kolejowych, tylko o zysk dla kolei, przyczem zastawia się rzekomo małemi dochodami, oświadczając, że nie może nic zrobić. — Referent podaje stanowisko parlamentarnej frakcyi socyalno-demokratycznej w sprawie kolejarzy. I tak powiada: „Nasze żądania są następujące: odpowiedni spoczynek, uregulowany czas pracy, urlop, dozór przez samych funkcyonaryuszy, a obok ubezpieczeń od wypadków także ustawa „haftpflicht" (dozwalająca poszukiwać praw swoich w razie wypadku na przedsiębiorstwach i zarządach kolejowych). W najbliższym czasie wniesiemy ustawę w celu poprawy ustawy „haftpflicht" i będziemy żądali, ażeby zakłady ubezpieczeń wynagradzały całą szkodę ofiarom wypadków. Wystąpimy również za upaństwowieniem kolei prywatnych, ale nie za takiem, któreby było na rękę giełdzie. Żądamy także ankiety parlamentarnej w celu zbadania przyczyn katastrof, nie mamy bowiem zaufania do ministerstwa kolei, które wiecznie daje się kierować fiskalizmem, a które w tej sprawie samo jest stroną. Ankietę tę będziemy się starali później przekształcić w stałą, która będzie musiała dostarczać stale sumiennej statystyki. Przedewszystkiem jednak będziemy żądali prawa koalicyi dla kolejarzy. Parlament będzie się musiał oświadczyć, czy chce być przedstawicielem interesów małej kliki kapitalistów, czy całej ludności". Widzimy z tego, że nasi posłowie ułożyli już cały plan postępowania, który ma kolejarzy postawić na lepszem, niż dotąd, stanowisku. Możemy być pewni, że wszystko, co poseł Verkauf zapowiedział, będzie przedmiotem obrad parlamentu, — do nas jednak należy nie opuszczać naszych posłów w tej ciężkiej pracy, ale przeciwnie, wspierać ich na każdym kroku, wspierać energicznem i śmiałem występowaniem w obronie słusznych praw swoich. Dla galicyjskich robotników kolejowych powinien być ich organ niejako pośrednikiem między nimi, a posłami socyalistycznymi. Podając do „Kuryera" wiadomości o swojem położeniu, o warunkach pracy itd., będą przynajmniej pewni, że dostarczają materyału do dyskusyi parlamentarnej i że w ten sposób pomagają dzielnie swoim reprezentantom w walce z wyzyskiem kolejowym.

Nawet Koło polskie ruszyło się! Ci panowie, którym na widok p. Guttenberga albo Bilińskiego łydki drzą ze strachu, a karki same się uginają, — odważyli się obecnie.... „interpelować" rząd w sprawie wypadków kolejowych. Nareszcie, kiedy już posłowie socyalistyczni postawili w tej sprawie wyczerpujący nagły wniosek, (nie interpelacya, na którą nikt zazwyczaj nie odpowiada), kiedy już nawet urzędowe okólniki stwierdzają „mnożące się w przestraszającej liczbie" wypadki, nareszcie i Koło polskie zdecydowało się wystosować interpelacyę. Prawdziwie — musztarda po obiedzie... A dopieroż sama interpelacya: na początku, jakby dla usprawiedliwienia się z tego niezwykłego kroku, tłómaczy ona, że „dla wielu przedsiębiorstw jest kwestyą życia nieprzerwany ruch osobowy", a przerwa w transporcie towarów „jest klęską dla handlu i ludności". Jestto niejako uprzedzenie, że Koło występuje przedewszystkiem w obronie tych interesów „handlu i ludności", co oznacza po prostu rozmaitych kupców, przedsiębiorców i t. d. Dopiero w dalszym ciągu zaznacza interpelacya, że stosunki na kolejach pod względem warunków pracy, urządzeń technicznych i sposobu zarządzenia, są już wprost „nie do uwierzenia". A choć w końcu znowu jakby dla zastrzeżenia się przeciwko wszelkim zbyt „śmiałym" zamiarom, dodaje się, że „bezpieczeństwo ruchu ma wielki wpływ na dochód kolei", — to przecież ta część interpelacyi, która występuje przeciwko całemu obecnemu systemowi na kolejach państwowych, jest wielce charakterystyczną. Tak więc doszło już do tego, że nawet takie Koło polskie, ta zbieranina lizuniów i sług ministeryalnych, widzi się wprost zmuszonem do wystąpienia przeciw systemowi p. Guttenberga! Czyż nie dowodzi to jasno, że to, co się dzieje pod rządami tego generała, jest już wprost niemożliwem do zniesienia nawet dla najpokorniejszych?! A chociaż wido-

---

wreszcie do drzwi i otworzyłem je. Dziwny i straszny widok przedstawił się naszym oczom. Buda cała stała we wodzie. Naokoło czarne, gołe ściany, a tylko gdzieniegdzie przebłyskiwało przez nie szare, dzienne światło. Koło drzwi stary wiśniowy stół, na nim hebel, piłka, topór i kilka niedostruganych kawałków deszczek. A w kącie, także prawie całkiem w wodzie, stos trzasek, heblówek, przegniłych na gnój, nałożonych wysoko, warstwa na warstwie, a na tej kupie, zaryty w ten gnój do połowy i ledwie że pokryty staremi czarnemi szmatami, leżał człowiek, siny, jak bez, suchy, jak szczypa, z wyrazem strasznego bólu i jakiegoś żalu na pomarszczonem licu. Był to Ślimak, a prawdę mówiąc, tylko trup Ślimaka... Mrowie przeszło mię na ten widok. Dziesięć lat w takiem piekle! I tu żył człowiek! — Takie urywane myśli przelatywały przez moją głowę. A dziewczynka rzuciła się tymczasem budzić dziadka, lecz spostrzegłszy, że dziad zimny i stężały i taki jakiś straszny, krzyknęła głosno i wyleciała na dwór. Wyszedłem i ja za nią. Ale krzyk dziewczyny nie zwabił nikogo do chłodnego trupa. W tej samej chwili gęsto zbite gromady narodu wzniosły na ulicy ogłuszający okrzyk:

— Wiwat! Niech żyje nasz ojciec! Niech żyje!

Był to znak, że najdostojniejszy gość znajdował się juz w ulicach Borysławia.

Niebo wypogodziło się, poszarpało bure chmury i zrzuciło je z siebie w kąt, jakgdyby nędzne, żebrackie łachmany, aby natomiast pokazać swoją błękitną, świąteczną odzież.

— Wiwat! Wiwat! — brzmiało w całym Borysławiu, brzmiało z tysięcy ust, — a dziad Ślimak leżał w tej chwili niemy, ponury, z bolesnym na twarzy wyrazem, na swoim zgniłym barłogu, w tej okropnej ohydzie, w którą wepchnęła go ludzka zachłanność i z której wybawiła go tylko ostatnia przyjaciółka — śmierć.

cznem jest, że pp. interpelantom z Koła polskiego więcej chodzi o interesa przedsiębiorstw kolejowych i nielicznej kliki „przemysłowców“, niż o dobro kolejarzy. — to przecież interpelacya ich jest tylko potwierdzeniem tego, co my wciąż piszemy i mówimy, jak mianowicie groźne są obecne stosunki kolejowe. Może się to nawet naszym pp. posłom nie podobać, (a że nie chcieli tego, to pewna), ale tak jest w rzeczywistości. I tylko ciekawi jesteśmy, co rząd odpowie na te delikatne i nieśmiałe uwagi swoich najpokorniejszych owieczek? Jaką wymówkę znajdzie znowu p. Guttenberg?....

Minister Guttenberg zabawił się dla odmiany w germanizatora. W wydanym niedawno poufnym okólniku do zarządów kolejowych zwraca uwagę, że urzędnicy i wogóle funkcyonaryusze dyrekcyi za mało umieją po niemiecku. Należy żądać od nich — podług słów okólnika — nietylko znajomości języka niemieckiego, ale biegłego i umiejętnego władania nim w mowie i piśmie. Oto ważne sprawy, jakiemi się zajmuje ministerstwo kolejowe! Jaka przytem niedorzeczność leży w samem żądaniu używania na kolei w całej Austryi języka niemieckiego! Galicyjski kolejarz, budnik, lub zwrotniczy, nie umiejący ani słowa po niemiecku, już i tak klnie dziś, na czem świat stoi, kiedy dostanie urzędowe pismo, wystylizowane w niezrozumiałym dlań języku. To też najzupełniej słuszne jest żądanie, wyrażane dziś coraz głośniej i częściej, aby władze przemawiały do podwładnych w języku ojczystym. P. Guttenberg jednak od tego jest ministrem, aby wydawać rozporządzenia sprzeczne i z duchem czasu i ogólnem przekonaniem i... zdrowym rozsądkiem. Nie dość, że i tak pisze się wszystko po niemiecku, on chce jeszcze, aby to było pięknie i poprawnie. Tak, moi panowie — *„alles deutsch“*...

W sprawie „Kolejarza“ przysłał nam redaktor Stopiński długie pismo, wyjaśniające kwestye, poruszone przez nas w 18 nr. naszego pisma. Zaprzestanie druku sylwetki dyrektora Wierzbickiego spowodował zarząd „Gal. stow. kolejarzy“, który na wniosek swego wiceprezesa zabronił stanowczo „Kolejarzowi“ napadać na dyrektorów kolejowych, hofratów i wogóle dygnitarzy kolejowych. P. Stopińskiego wykluczono nawet ze stowarzyszenia za umieszczanie owych artykułów.... Tak doszło dziś do tego, że „Kolejarz“ przestał być organem owego stowarzyszenia i jest prywatną własnością p. Stopińskiego. W nr. z dn. 1 października „Kolejarz“ aż w dwóch artykułach napada na obecnych kierowników „Gal. stow. kolejarzy“ i wzywa „wszystkich uczciwych kolejarzy“, aby mu dopomogli w odparciu zamachów, jakie czyni na jego żywot owo stowarzyszenie. W poprzednim jeszcze numerze „Kolejarz“ wzywał do regularnego płacenia wkładek do „Gal. stow.“; dziś apeluje do tych członków, aby powstrzymywali się z płaceniem wkładek, „dopóki nie zapanuje porządek“. Istny chaos, nad którym może biadać p. Stopiński, my jednakowoż — nie... Nie dlatego, jakobyśmy nie mieli oburzać się postępkiem lizunów, którzy krępują ręce swoim kolegom, walczącym o poprawę bytu, — ale z tego przedewszystkiem powodu, że nie ma w tem dla nas nic dziwnego. P. Stopiński, zakładając „Gal. stow. kolejarzy“, powinien był już naprzód wiedzieć, że płód jego ambicyi będzie poroniony. Kto przystępuje do organizacyi bez żadnej myśli przewodniej, bez jednolitego planu akcyi, opartego na głębszej, społecznej podstawie, ten może być naprzód przygotowany, że dzieło jego prędzej czy później, rozpadnie się, albo żyć będzie gnijąc. Taki p. Bachowski i Chmura, poplecznicy hofratów i dyrektorów, to typy bardzo naturalne w stowarzyszeniu, do którego przyjmowało się każdego, kto chciał i nie chciał, a które nie wywiesiło nigdy żadnej chorągwi, żadnego sztandaru. Nad p. Stopińskim zemściła się cała jego przeszłość, zemścił się jego wieczny brak decyzyi i brak wszelkiego programu. Obecnie redaktor „Kolejarza“ ma wolne ręce i nie biadać, ale raczej cieszyć się powinien z tego, że będzie mógł nareszcie wypowiadać swoje poglądy, swoje życzenia itd. Odtąd — i to p. Stopiński powinien sobie dobrze zapamiętać — nie będzie już przeszkody, któraby mu zabraniała pisać tak, jak uzna za stosowne. Jeżeli zatem „Kolejarz“ skorzysta z tego położenia i zrozumie drogę, po której powinien teraz kroczyć, to powitamy w nim chętnie towarzysza broni. Jeżeli zaś może znowu będzie szukał oparcia u „pachołków kolejowych“ (jak ich sam nazywa), to — rzecz naturalna — skutki sam sobie przypisze.... W tem tylko kwestya cała, czy p. Stopiński potrafi utrzymać pismo, które swoim dotychczasowym charakterem nie potrafiło zyskać sympatyi urzędników. I co do tego nie chcemy i nie możemy przesądzać przyszłości...

Kongres angielskich kolejarzy rozpoczął w dniu 7 października swe obrady w Plymouth. Sprawozdanie zarządu podaje, że liczba stowarzyszeń lokalnych i filialnych wzrosła w ubiegłym roku z 474 na 612, liczba członków w r. zeszłym równa 44.700, wynosi dziś **81.900**. Wzrost to w tak krótkim czasie wprost niesłychany. O karności i silnem poczuciu wielkich obowiązków tej olbrzymiej armii świadczy fakt, choć sam przez się smutny, że kongres pozbawił godności generalnego sekretarza, który ją piastował przez lat piętnaście. Jako powód podano, że sekretarz dostarczył kilku pismom sprawozdania, niezgodnego z interesem stowarzyszenia i wykroczył w ten sposób przeciw przyjętym na się obowiązkom. Wypadek to wprawdzie przykry, ale kongres zadecydował, że inaczej postępować nie można; tylko natychmiastowe usuwanie jednostek, szkodzących organizacyi, może jej zapewnić pożądaną potęgę. Dla nas fakt ten może być pouczającym o tyle, że wskazuje nam konieczność jak najsumienniejszego i najściślejszego wypełniania wszystkich obowiązków, które wkłada na nas organizacya. Jeżeli każdy z nas dojdzie do tego punktu świadomości, nie będziemy potrzebowali się wstydzić angielskich kolejarzy...

Z doli kolejarza.

Zawód kolejowy ma więcej może od każdego innego całe zastępy cichych i uległych pracowników, którzy gdzieś w zapadłym kącie ciągną taczkę żywota, pełną ciężkich i ostrych, kolących kamieni. Są to prawdziwie biali murzyni, niewolnicy kolejowi, oddani na łup potężnego kapitalisty, który też nie omija żadnej sposobności, aby dać im odczuć siłę swego knuta. I już chyba sama konieczność służenia temu wielkiemu i bezlitośnemu panu, który się mieni koleją, jest dostatecznem brzemieniem, jest nieszczęściem, które tym zwłaszcza dalekim i nieznanym pracownikom zatruwa całe życie, wyrabia w nich zrazu gorycz i wyciska z ich ust przekleństwo, a następnie pogrąża ich w stan głuchej, milczącej, choć z konieczności czynnej apatyi. Ale jeżeli do tego nieszczęścia przyłącza się jeszcze cały szereg innych, jeżeli mianowicie ludzie, będący również sługami tego samego władcy, używają wyższego stanowiska swojego na gnębienie i prześladowanie owych murzynów kolejowych, — wówczas zaprawdę dziwić się tylko należy wytrzymałości tych gnębionych i wyzyskiwanych, dziwić się należy, że pomimo strasznych istotnie cierpień nie wybuchają w nich płomienie wściekłego gniewu, któryby ogarnął i zniszczył wszystko, cokolwiek było im przedstawicielem ciężkiego jarzma. Zaiste wielką jest cierpliwość tych najnędzniejszych z pomiędzy proletaryatu kolejowego!...

Kilka lat ciągnie się czasami pasmo prześladowań i szykan, jakiemi ci wyżsi i gorsi słudzy kolei gnębią swoich „podwładnych“. Mamy dziś do zanotowania znowu przykład takiej nieludzkiej bezwzględności, głupiej złośliwości owych pp. „przełożonych,“, godnych pogardy i napiętnowania tem bardziej, że sami oddają się w nikczemne usługi tym, którzy nad nimi ciągle bat trzymają. Tym razem rzecz, o którą nam chodzi, dotyczy jednego zwrotniczego, zatrudnionego w obrębie dyrekcyi krakowskiej. Z łatwo zrozumiałych powodów nie podajemy ani nazwiska zwrotniczego, ani miejscowości: do rzędu dotychczasowych prześladowań nie chcemy mu dodać nowego. Zwrotniczy ów ma żonę i kilkoro dzieci. Od chwili wstąpienia do służby kolejowej znosi ciągłe prześladowania ze strony przełożonych, tak, iż musielibyśmy ciągnąć rzecz przez kilka numerów, gdybyśmy chcieli przytoczyć tu wszystkie jego krzywdy. Zaczniemy od połowy roku zeszłego, tj. od czasu, od którego datuje się dzisiejsza jego nędza.

Wypadek, który rozpoczął niejako nędzę dzisiejszego żywota naszego zwrotniczego, był jednym z wielu, w których winę, popełnioną przez którego z przełożonych, zwala się na nieszczęśliwego podwładnego i robi się go za wszystko odpowiedzialnym. Jednego dnia mianowicie nasz zwrotniczy ustawił zwrotnicę na zwyczajny tor dla pociągu towarowego, który miał właśnie przybyć. W tem urzędnik ruchu, zlustrowawszy ustawienie zwrotnic, rozkazał zmienić zwrotnicę dla pociągu towarowego, mówiąc, że tym torem ma nadejść inny pociąg. Rozkazowi przełożonego stało się zadosyć. O oznaczonej godzinie jednak pociąg staje przed zwrotnicami, a maszynista i kierownik zapytują ze zdziwieniem zwrotniczego o powód zmiany w ustawieniu zwrotnic. Usłyszawszy z ust jego rzecz całą, poszli do urzędnika ruchu, a ten, przybywszy na miejsce, zmienił pierwotny rozkaz podług poprzedniego ustawienia. Nie dość na tem: zwrotniczemu wytoczono dyscyplinarkę i w drodze dyscyplinarnej przeniesiono go do małej miejscowości, dziury, z której wszyscy uciekali. „Ślusarz zawinił, a kowala powieszono“....

Nowa siedziba niewinnie ukaranego stała się wkrótce prawdziwem utrapieniem dla całej rodziny zwrotniczego. W miejscowości owej nie było nawet porządnego mieszkania, w którem ludzie mogli przebywać bez obawy przed chorobą, lub po prostu... zgniciem. Kolejowych mieszkań nie było, a prywatne, wynajmywane dla kolejarzy, były naturalnie możliwie najnędzniejsze, bo najtańsze. Nasz zwrotniczy podał do dyrekcyi wiadomość o stanie rzeczy i dostał od nowego przełożonego zapewnienie, że potwierdzi w zupełności jego prawdziwe podanie. Tymczasem p. przełożony stchórzył i dostawszy zapytanie z dyrekcyi, odpowiedział, że mieszkań jest dużo i można wynająć w każdej chwili. Nowo przybyłemu zwrotniczemu przeznaczono jakąś nędzną norę, przeszło 1 km. od stacyi oddaloną, w której wilgoć spływała swobodnie po ścianach. Zwrotniczy był zmuszony wynająć sobie sam mieszkanie u żyda, ale źle trafił: wilgoć zniszczyła zdrowie jego i żony, a dzieci kilkakrotnie chorowały. Zrozpaczony podał do dyrekcyi prośbę o przeniesienie gdzieś w ludzkie miejsce, podnosząc, że w owej miejscowości nie ma nawet szkoły dla dzieci. Wszystko daremne. Wkrótce miał znowu sposobność przekonać się o życzliwości i ludzkich uczuciach swoich nowych przełożonych.

Żona zasłabła mu ciężko. Mąż, obawiając się katastrofy po niedawnym połogu, zwrócił się do urzędnika ruchu, p. Fr., o pozwolenie na podróż do pobliskiego miasteczka po lekarza kolejowego. Po długich naleganiach p. urzędnik zezwolił. Podczas nieobecności męża udał się p. przełożony z jednym jeszcze zwrotniczym do chorej żony i zaczął się jej wypytywać, czy doprawdy chora itd. Obaj ci panowie byli tak uporczywi i natrętni, że skłonili chorą kobietę do obnażenia ran na ciele, które właśnie stanowiły jej chorobę. Jakiem prawem ci niezwykli „doktorzy“ badali chorą, to tajemnice ich urzędniczych przywilejów. Brutalność taka nie może być dość ostro napiętnowana. Rozumie się, że przy sposobności tej choroby okazało się znowu osławione postępowanie lekarzy kolejowych: lekarz nie chciał przybyć do chorej, powiadając, że nic nie poradzi, a wreszcie zapisał jakieś lekarstwo. Wyzdrowiawszy, żona zwrotniczego napisała skargę do dyrekcyi krakowskiej na owych pp. „doktorów“ i dyrekcya wysłała p. Sosnowskiego, który spisawszy protokół, odjechał. Co się stało z tym protokółem, niewiadomo. W każdym razie sprawa ta jest ładną ilustracyą stosunków kolejowych; można mieć z tego wyobrażenie, na co narażony jest taki zwrotniczy i co musi cierpieć w milczeniu jego rodzina.

Nie mogąc inaczej sobie poradzić, nasz zwrotniczy wysłał żonę i dzieci do sąsiedniej miejscowości, gdzie przynajmniej jest jaka taka szkółka. Zmuszony jest więc obecnie utrzymywać dwa domy: biedny kolejarz, zarabiający zaledwo na życie, jest w ten sposób, przez bezwzględne postępowanie władzy, narażony na nędzę i zupełnie zbyteczne wydatki. Ponowna prośba o przeniesienie nie odniosła żadnego skutku. Kto wie, czy kiedy biedny zwrotniczy wydostanie się z tej matni, w którą zapędziła go złość ludzka i szykany przełożonych. W przeciągu krótkiego stosunkowo czasu służby był przenoszony pięć razy; zwykły to los tych maluczkich pomiędzy kolejarzami, tułać się z miejsca na miejsce, nie zaznać ani chwili spokoju. Ale wtedy, kiedy się prosi władzy o przeniesienie, kiedy to przeniesienie jest pożądanem, wtenczas każą siedzieć na miejscu i — milczeć.

Teroryzm władz i przełożonych, obawa przed utratą chleba sprawia też istotnie, że ci nieszczęśliwcy tłumią żale i milczą. Ale czy będziemy się dziwili, jeśli np. w naszym przypadku zwrotniczy zrzuca wreszcie kaganiec, nałożony mu przemocą, i przez nasze usta woła wielkim, bolejącym głosem o sprawiedliwość? Czy można się dziwić, że wreszcie i tę pokorną ofiarę prześladowań opuszcza cierpliwość, a ogarnia słuszny gniew przeciwko wszystkiemu i wszystkim, którzy ponoszą tu winę? Zaprawdę, nawet cierpliwość proletaryusza ma swoje granice. A my, z ogólno-ludzkich względów, pragniemy załatwienia każdej takiej sprawy póki cierpliwość nie wyczerpie się zupełnie i wołamy o sprawiedliwość dla prześladowanych, — póki czas jeszcze....

W sprawie dodatków drożyźnianych.

Nowy Sącz. Nareszcie otrzymaliśmy cząstkę owej z tak wielkiem upragnieniem oczekiwanej... jałmużny, w postaci „dodatku drożyźnianego“, za który będzie można nabyć owych słynnych (bo podstawowych) galicyjskich zasobów spożywczych, jakimi są ziemniaki i kapusta.... Nawiasem mówiąc, zdałoby się jednak do tego koniecznie kawałek nierogaciżny, — lecz tu znów „pech“ postawił nas pod nadzorem kierownika konserwacyi, który z pochodzenia jest nieprzejednanym przeciwnikiem bezrogich. Wskutek tego też bywają ciągle przedkładane raporty o „nieporządności“ naszego jedynego dobytku, stanowiącego całą okrasę tak naszych ogródków, jak... kapusty i ziemniaków. Na nic nie zdadzą się nasze usprawiedliwienia, gdyż znów spisywano to niekoszerne plugastwo i lada dzień spodziewamy się jakich nowych „erlasów“, lub

kary za przekroczenie poprzednich. Ale wróćmy do rzeczy tj. do owej — jak powiedzieliśmy — jałmużny. Tak bowiem musimy nazwać ów dodatek i jakkolwiek „nasz pan“, zapewne łamiąc ręce z rozpaczy, wydał nieco znaczniejszą sumę na ten cel, niż w roku poprzednim, to jeszcze nie osiągnął tem zamierzonego celu. Grała tu bowiem rolę, jak zwykle, oszczędność, a połączona z nią rzekoma „filantropia“ nie była sprawiedliwą rozdawczynią dodatków. Nierówny podział wywołał między pracownikami rozgoryczenie i zawiść, gdyż jeżeli rozdano przeważnie tym, którzy mają większą rodzinę, — to inni, pracujący równomiernie z tymi, czuli się tem mocno dotknięci i pokrzywdzeni. Nie jakoby nie uznawali, że ci właśnie więcej potrzebują, ale dlatego, że mniej familijni mają mniejszy „Gehalt“ i są również przyciśnięci niedostatkiem.

Musimy też wyznać, że jakkolwiek jesteśmy wdzięczni za owych 20 złr. zapomogi, to z drugiej strony pieniądze te paliły nam ręce i sumienia z tego powodu, że naszych współpracowników pominięto i zaręczamy, że gdyby nie widmo nędzy i głodu naszych dzieci, nie przyjęlibyśmy tego „podarunku“, tembardziej, że wielu i to wielu prawdziwie potrzebujących nie uwzględniono, a dano natomiast takim, dla których to było zbytecznem. To też nie zadowalniamy się tym, powszechnie zwanym „głodowym“ dodatkiem, ale spodziewamy się, że wysokie i bogate zarządy kolejowe zechcą przyjrzeć się bliżej naszemu krytycznemu położeniu i z nowym rokiem hojniej, niż dotąd, przyjdą nam w pomoc z awansem.

Do sprawy tej powrócimy jeszcze, tymczasem — spodziewamy się...

Pod pręgierz.

Kraków. Naczelnik Jarocki gniewał się bardzo, znalazłszy swoje nazwisko w „Kuryerze kolejowym“. Jakto, więc on, ten groźny i wielki tyran, dostał się znowu pod pręgierz?! Oburzenie jego było podobno tak wielkie, że zachowaniem się przypominał człowieka, chorego na „wodowstręt“ (zwany pospolicie wścieklizną). Bardzo nam doprawdy przykro, żeśmy tak wzburzyli żółć p. Jarockiego, ale prosimy go, aby nam nie brał za złe, jeśli dziś znowu pomówimy o nim słów kilka. I tak niedawno dał poznać swoją sprawiedliwość, nałożywszy karę na biednego robotnika, który niczem nie zawinił, jak chyba tylko tem, że wypełnił przepis, nakazujący posłuszeństwo przełożonym. Rzecz się miała tak, że jeden werkfirer wysłał owego robotnika w jakiejś prywatnej sprawie do domu, nie mogąc się sam oddalić. Robotnik zabawił tylko 10 min., a p. Jarocki, dowiedziawszy się o tem, nałożył na niego karę 1 złr. 80 ct., tj. odtrącił mu pensyę za dwa dni! Biednemu człowiekowi, pracującemu ciężko za nędzną płacę, odebrał i to niewiele, co w pocie czoła zarabia na utrzymanie rodziny. Ów werkfirer, który był właściwie winnym, nie dostał żadnej kary... Za to p. Jarocki nie widzi, jak pod jego nosem osławiony Trzetrzewiński wysyła wciąż jednego z robotników za swoimi sprawunkami i posługuje się nim dowoli każdej chwili. Ale bo też Jarocki i Trzetrzewiński, to dwie bratnie dusze, które się poznały prędko i zrozumiały łatwo... Dyrekcya krakowska patrzy obojętnie na postępki obu tych panów (z których ostatni znany jest jeszcze nowosądeckim kolejarzom, o czem zresztą pomówimy kiedyindziej) i nie myśli wcale położyć nareszcie końca tym wstrętnym, a znanym jej dobrze sprawkom Jarockiego. Czy dyrekcya czeka na dalsze fakta? Któż zna je lepiej, niż ona? Wszak wiadomo wszystkim, że żaden podurzędnik nie mógł wytrzymać pod p. Jarockim i dlatego każdy starał się zaraz o przeniesienie chociażby nawet do... stanisławowskiej dyrekcyi. Wszędzie lepiej, jeśli tylko nie ma Jarockiego. Podobno kilku funkcyonaryuszy wybiera się do inspektora Brücknera, aby mu przedłożyć niemożliwość pracowania pod kierunkiem takiego Jarockiego i Trzetrzewińskiego. P. Jarocki zaczyna zatem wojować; ale my mu zapowiadamy, że nie ustąpimy z pola i przypominamy mu bardzo mądre przysłowie, które grozi, że „jakim kto mieczem wojuje, od takiego zginie“...

Krosno. Zdaje się, że do rzędu stałych figur w rubryce „pod pręgierz“ naszego pisma przybywa obecnie p. Józef Grohman. Notatka nasza o tym baszy kolejowym wywołała szereg listów z rozmaitych stron, które świadczą o tem, że p. Grohman takim, jak jest obecnie, był i w początkach swojej karyery. Za naszem pośrednictwem zasyłają mu pozdrowienia robotnicy, którzy w r. 1894 pracowali na stacyi Jedlicz. Szanowny p. Grohman przypomni sobie pewnie te czasy, kiedy to wysłany do pomocy bahnmistrzowi Lewickiemu, dał się po raz pierwszy poznać, jako człowiek, mający wszelkie kwalifikacye na... ekonoma. Jego laska, o której twierdzą świadomi rzeczy, że była znakomicie przystosowaną do grzbietu p. Grohmana, nadała mu niezaprzeczenie godność i powagę ekonomską. Albo ta niemiła sprawa w Polance, która pociągnęła za sobą kilkudniowe leżenie w łóżku wskutek nagłego „kataru“. Okazuje się, że nikomu nie było tajemnicą, jakiego to rodzaju był ów katar; nie trzeba było przeciągać struny cierpliwości robotników, a wówczas nie byłoby się cierpiało na „katar“... To tylko dwa fakciki: mamy ich więcej, a wszystkie dowodzą, że p. Grohman powinienby stanowczo... awansować. Jest on bowiem jakby stworzony na lojalnego i usłużnego urzędnika c. k. kolei państwowych w Galicyi. P. Grohman. gratulujemy....

Stryj. O p. Majewskim, inspektorze tut. warsztatów, nie będziemy mogli nigdy nic donosić dobrego. Tak bowiem, jak nam tutaj się wiedzie pod jego sławetnemi rządami, to nie wiem, czy jest jeszcze gdziekolwiek indziej. P. Majewski widzi naszą nędzę, wie bardzo dobrze, że tegoroczna drożyzna, która dotyczy tak żywności, jak i mieszkania, odbiera nam prawie o połowę więcej zarobku, niż dotąd. Ale p. Majewski uważa, że nic na to robić nie warto; przeciwnie, jesteśmy pewni, że dla podniesienia się w opinii swoich przełożonych, przedstawia nasze położenie w jak najlepszem, choć naturalnie najfałszywszem świetle. P. Majewskiemu zdaje się najwidoczniej, że od tego jest inspektorem, aby nakładać na nas, o ile możności najcięższą pracę, aby dbać tylko o korzyść i zysk dla kolei, no i naturalnie o swój awans — ale żeby tak raz wglądnąć w to, co się dzieje u robotników, żeby zastanowić się nad jakiemiś sposobami ulżenia tej nędzy ciężko pracujących ludzi, to jest dla niego zbytecznem. Za to stara się bardzo o dobro.... „Czytelni kolejowej“ i urządza z kilkunastu lizuniami wycieczki, na które dostarcza im wolnych pociągów. Oto jest jego praca dla dobra „ogółu“ kolejarzy.. Albo drugi objaw pieczołowitości o nasze dobro: p. Wierzbicki porozsyłał okólniki, w których wzywał do składania się na kolonie wakacyjne dla dzieci kolejarzy. Doprawdy wzruszające! Dodatków drożyźnianych nie daje, o chleb dla tych biednych dzieci nie troszczy się wcale, ale za to urządza im kolonie wakacyjne kosztem rodziców, którzy głowę sobie łamią, myśląc o sposobie wyżywienia rodziny. Prawdziwie ojcowska troskliwość. Tylko niestety, my już jesteśmy tak niewdzięczni, że jakoś wolelibyśmy, aby obaj ci panowie inaczej okazywali swoją troskę o dobro kolejarzy. Trochę sprawiedliwości, trochę zrozumienia dla naszej nędzy, a wycieczki i kolonie darujemy wam, panowie!...

Halicz. Obok p. Młodeckiego (którego nareszcie wzięto stąd) i Fedka Cwyla, (który oby za nim poszedł!) mamy tu dosyć takich którzy mogą godnie obok nich stanąć.. pod pręgierzem. Wymienimy „zugsführera“ Rosena, który specyalnie prześladuje jednego konduktora z powodu jakiejś osobistej niechęci, i konduktora Gumola, który się cieszy niezwykłemi względami p. Ferusa. To samo mogłoby starczyć za wszelkie inne napiętnowanie. Ten p. Gumol odciągnięty był za jeden brzydki nałóg od prowadzenia pociągów i to rozporządzeniem dyrekcyi; tymczasem p Ferus przeznacza go dalej do tej czynności, zapewne z wdzięczności za to, że Gumol oddaje mu usługi podobne do tych, w jakich celują Młodecki i Cwyl. Już to, co prawda, Halicz jest typową stacyą z zakresu dyrekcyi pp. Festenburga i Seinfelda...

KRONIKA.

Do naszych Czytelników! Ufni w Wasze przywiązanie i poparcie, odzywamy się dziś do Was z gorącym apelem do tych uczuć, jakie każdy z Was żywi dla swego pisma, jedynego wspólnego obrońcy uciśnionych mas kolejarzy Towarzysze! Dla „Kuryera Kolejowego“ nadchodzą coraz cięższe czasy: walka z rządem i władzami kolejowemi, walka z jezuitami i jezuickiemi partyami, walka — co gorsza — z demoralizacyą i korupcyą wśród samych kolejarzy, oto zadanie, które przypadło w udziele Waszemu organowi i które on spełniać musi zawsze z godnością i należytą energią. Bez Waszego poparcia, bez Waszej życzliwości nie podjęlibyśmy się nigdy tak trudnego obowiązku. Waszą jest zasługą, że „Kuryer“ może odpowiadać godnie położonemu w nim zaufaniu i możemy Was tylko prosić o zachowanie nam tego zaufania i na przyszłość. Ale, Towarzysze, walka, którą prowadzimy, wymaga dużo środków materyalnych, a tych Wy tylko sami możecie dostarczyć, — Wy sami tylko możecie stworzyć dla swego pisma trwałą podstawę bytu. I dlatego wzywamy przedewszystkiem tych wszystkich, którzy zalegają z prenumeratą, aby ją jak najprędzej uiścili; następnie przysyłajcie, co możecie, na fundusz prasowy i nie zapomnijcie bowiem, że z tych drobnych datków powstanie budowa wielka i silna. Jeżeli pragniecie, Towarzysze, aby „Kuryer Kolejowy“ rozszerzał coraz bardziej zakres swojej działalności, aby obronę praw Waszych prowadził coraz lepiej i skuteczniej, prosimy Was raz jeszcze: nie zapominajcie o prenumeracie i funduszu prasowym!

Administracya „Kuryera Kolejowego“ wzywa wszystkich Towarzyszy, aby rachunki, wysłane im z początkiem tego miesiąca, wyrównali jak najprędzej.

Zgromadzenie ludowe kolejarzy, zapowiedziane przez nas w poprzednim numerze, odbędzie się najprawdopodobniej za tydzień. Przemawiać będą posłowie do Rady państwa tow. Kozakiewicz (po polsku) i tow. Schrammel (po niemiecku). Na porządku dziennym: położenie kolejarzy i organizacya. Poseł krakowski, tow. Daszyński, przybędzie prawdopodobnie również. Towarzysze! Kolejarze! Niechaj na tem zgromadzeniu nie braknie ani jednego z Was, ktokolwiek tylko ma jeszcze serce męskie w piersi i pragnie wydobyć się z dzisiejszego bagna niedoli. Polacy i Niemcy, funkcyonaryusze kolei państwowej i północnej, robotnicy i urzędnicy, powinni stawić się solidarnie na zgromadzeniu. Kolejarze, ocknijcie się i poznajcie swoją siłę!

„Z własnej winy“. Dnia 4 października został we Lwowie na dworcu czerniowieckiej kolei zmiażdżony jeden robotnik przy przesuwaniu wozów. Nieszczęśliwy wyzionął ducha na miejscu, — jedna ofiara więcej ciężkiego zawodu. Wypadek taki nie jest wcale dziwnym wobec strasznych doprawdy stosunków, jakie panują na tej kolei Szyberzy (do których należał i ów nieszczęśliwy) i zwrotniczy pracują tu bez przerwy 24 godzin, poczem dopiero następuje 24 godzin spoczynku. Być całą dobę w bezustannym ruchu, zachować przez ten czas konieczną w zawodzie świeżość i przytomność umysłu, to rzecz niemożliwa. Ta właśnie niemożliwość stała się przyczyną tak okropnego wypadku. „Własna wina“ nieszczęśliwej ofiary (podawana przecież urzędowo najczęściej za powód podobnych nieszczęść) — leżała chyba w tem, że obrał sobie ciężki zawód kolejarza...

Dyrekcya krakowska ma specyalny dar żądania od ludzi tego, co jej się nie należy. Dowodem tego sprawa tow. Wilh. Heina, którego list umieściliśmy niedawno. Obecnie przesyła nam on pismo dyrekcyi krakowskiej, oznajmiające, że świadectwo może mu być tylko wtedy wydanem, jeśli spłaci dług 9 złr., pozostały z ogólnej sumy nieprawnie pobranej płacy za czas od 28/12 96 r. do 13/2 97 r. Tymczasem tow. Hein oblicza jak najdokładniej, że przedewszystkiem dyrekcya winna mu jest za miesiąc luty, za który nie dostał ani centa. Tak więc żąda się od niego zwrotu pieniędzy, których on nigdy nie widział i albo należałoby mu naprzód zapłacić jeszcze 12 złr. 2 ct., albo wcale nie upominać się o, te 9 złr. Niechżeż świetna dyrekcya nie zapomni, że nie ma do czynienia z człowiekiem, u którego pieniądze rozmnażają się niejako same przez się i że nie godzi się nikogo zdzierać w ten sposób...

Pytanie na czasie. Redakcya organu austryackich kolejarzy „Eisenbahner“ wystosowuje w ostatnim numerze zapytanie do ministra Guttenberga, czy mianowicie nie ma żadnego przepisu, zabraniającego zastawiać szczelnie toru tam, gdzie jedyne przejście do domków kolejowych prowadzi przez ten tor właśnie? Rzecz bowiem nierzadka, że żony i dzieci tych kolejarzy zmuszone są przełazić popod wagonami do mieszkań i narażone są w ten sposób na niebezpieczeństwo zdrowia i życia. Redakcya uprasza przeto ministra, aby jak najprędzej usunął zło, które może przyprawić całą rodzinę o utratę matki i dzieci. — Pytanie to i wyrażona tu prośba dotyka jednej, wcale nie małoważnej strony życia robotników kolejowych. Na galicyjskich kolejach jest to już prawie regułą, że do mieszkań kolejarzy na dworcu niema innego dostępu, jak tylko przez tor, zastawiony naturalnie (z powodu braku miejsca) wagonami i maszynami. Nie trzeba tłómaczyć, jak wielkie stąd niebezpieczeństwo dla dzieci zwłaszcza, które chcą się dostać do domu, a kroniki kolejowe milczą o tem, ile to już rodzin poniosło przez to stratę najdroższych członków. Jeśli p. minister zechce zająć się tą kwestyą, będzie musiał zabrać się do usunięcia jednego z najważniejszych braków, na mniejszych zwłaszcza stacyach, tj. braku miejsca i koniecznej wygody. Spodziewamy się, że wzgląd na zdrowie i życie kolejarzy wart jest wydatku, który pociągnie za sobą ta reforma. W przeciwnym razie będziemy znowu świadkami wypadków, których powód brzmieć będzie później urzędowo: „z własnej winy“...

Odpowiedzi Redakcyi.

Stacya Stróże. List wasz, jako nie podpisany niczyjem nazwiskiem, jest anonimowy, a anonimów umieszczać nie możemy. Niechaj ten, kto list pisał, podpisze się sam i poda świadków, wówczas umieścimy w „Kuryerze“.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Jan Englisch.

Drukiem A. Słomskiego w Krakowie.